

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. | Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 5. Kraków, dnia 3. lutego. 1901.

GIUSEPPE VERDI.

W Medyolanie, tem mieście muzyków, śpiewaków, muzykantów i recenzentów, zawarł oczy genialny mistrz włoskiej sztuki tonów, jeden z najznakomitszych muzyków współczesnych, człowiek, na którym zamyka się wspaniała karta dziejów muzyki w pięknym kraju cyprysów, pomarańcz i róż...

Nie potrzebuję, zdaje mi się, tłomaczyć szczegółowo, kim był i co stworzył ten wielki artysta. Melodye „Aïdy“, „Rigoletta“, „Balu maskowego“, „Trubadura“, „Traviaty“ i tylu, tylu innych utworów, wyszłych z pod pióra zmarłego mistrza, zbyt silnie wryły pamięć twórcy w umysły współczesnych, aby nie można się obejść bez dokładnych wyjaśnień co do dzieł jego i osoby. Cały świat cywilizowany cieszył się owocem natchnień Verdiego i cały świat też chyli dziś czoło u jego trumny.

W Verdim musi nas uderzyć przedewszystkiem niezwykła łatwość tworzenia. Opowiadają np., że zacząwszy „obmyślać“ „Trubadura“ w dniu 1. listopada 1852 r., skończył całą operę w przeciągu 28 dni i zawiózł ją do Cremony, gdzie mieszkał Ricordi, wydawca dzieł mistrza. Około Bożego Narodzenia udał się Verdi przez Genuę do Rzymu, lecz odejście statku opóźniło się o 3 dni; dzięki tej niepunktualności przedsiębiorstwa powstał w przeciągu 72 godzin pierwszy akt „Traviaty!“ 19. stycznia „Trubadur“ ujrzał w Rzymie po raz pierwszy światło kinkietów; mistrz opuszcza Rzym, spieszy do Sant'Agata i w przeciągu 13 dni kończy „Traviatę“, która już 6-go marca została w Wenecyi ...wygwizdaną! Biorąc pod uwagę choćby czysto mechaniczną stronę spisywania partycyi, nie podobna się nie zdziwić tym ogromem pracy.

Najwybitniejszą cechą twórczości zgasłego mistrza jest olbrzymia fala pięknej, żywej, szlachetnej melodyi, tryskająca niepohamowaną kaskadą ze wszystkich jego utworów. Verdi jest melodystą w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu: kontury jego aryi i pomysłów śpiewnych, są najczęściej tak okrągłe i szlachetne, jak rzadko się spotyka. Przytem melodya łączy się ściśle ze słowami, zwłaszcza w utworach późniejszej doby i daje wyraz uczuciom postaci śpiewającej ją, czyli jest melodyą dramatyczną w całem tego słowa znaczeniu. Wprawdzie cni Niemiaszkowie, którym teraz brak już kompletnie inwencyi melodyjnej, pastwią się w swych elaboratach nad „welscher Singsang“ genialnego kompozytora, lecz takie wybuchy bezsilnego gniewu im nie pomogą, a sławie Verdiego w niczem nie zdołają zaszkodzić.

Anglia w żałobie.



Królowa Wiktorya, † 22. stycznia 1901.



Król Edward VII.

Myliłby się ktoś jednak, sądząc, że element harmoniczno-kontrapunktyczny nie znachodził łaski w oczach twórcy „Aïdy“. Verdi nie wdawał się w zawiłe kombinacye harmoniczne, modulował poprostu, bez przesady i rafineryi, gdyż miał dość melodyi na każde zawołanie, i nie potrzebował pokrywać ubóstwa pomysłów dzikimi, lub co gorsza dziwacznymi harmoniami, jak to się trafia u wielu przedstawicieli muzyki współczesnej. Zresztą istota włoskiej sztuki tonów, którą Verdi tak wspaniale reprezentował, sprzeciwia się zawiłym, twardym przejściom i tonacyjnej pstrokaciźnie. Znakomity twórca „Otella“ używał wiedzy harmonicznej i kontrapunktycznej, ale jej nie nadużywał. Finał II. aktu w „Maskowym Balu“ i słynny ensemble, którym się kończy III akt „Aïdy“, są jasnym dowodem umiejętności mistrza i jego nauki. Brak przesądy w popisywaniu się swoją wiedzą, może mu być poczytany tylko za dowód wysokiej miary artystycznej i niezwykłej autokrytyki.

Z pod pióra Verdiego wyszło około trzydzieści oper, śpiewanych po wszystkich częściach cywilizowanego świata, stąd też imię ich twórcy stało się popularnem nad wszelki wyraz. „Aïda“ napisana w 1867 r. na wezwanie egipskiego khedywa, stanowi koronę i kulminacyjny punkt działalności Verdiego. Nie tutaj miejsce na rozpisywanie się o jej zaletach; cały świat oddawna poi się czarem jej melodyi i siłą dramatycznego wyrazu. Jest to dzieło skończone, któremu trudnoby było uczynić jakiś poważny zarzut. Tuż obok należy postawić „Otella“, „Rigoletta“ i „Bal maskowy“. Najpopularniejszym jest bezsprzecznie „Trubadur“, opera pełna wdzięku melodyjnego i niesłychanej potęgi wyrazu. „Traviata“ utrzymuje się dzięki popisowym głównym rolom, lecz wartość jej nie całkiem odpowiada geniuszowi mistrza.

Verdi zachował młodzieńczą świeżość talentu niemal do ostatnich lat swego długiego życia. „Otello“, skomponowany w 1887 roku a zatem w czasie, gdy jego autor miał lat 74, posiada ustępy tak potężne i taką świeżość pomysłów, iż wierzyć się nie chce, aby był dziełem starca; „Falstaff“, opera komiczna, tryska poprostu humorem i wesołością, a przecież Verdi pisząc go, dobiegał 81 roku życia! Fenomenalny talent mistrza okazał się zatem i z tego względu niezwykłym fenomenem, nad którym rozwodzili się szeroko uczeni całego świata.

W ostatnich czasach rozbrzmiewały pogłoski, iż w tece Verdiego znajduje się już gotowa opera p. t. „Król Lear“. Arrigo Boito, przyjaciel zmarłego, sam doskonały kompozytor i wyborny librecista, zaprzeczył tym wiadomościom, lecz nie jest rzeczą wykluczoną, iż przynajmniej część dzieła została już opracowaną. Wprawdzie Verdi zostawił potomności tak wspaniałą spuściznę twórczą, iż jedna opera nie zaważy w niej zbytnio na szali, lecz byłoby rzeczą bądź co bądź ciekawą, usłyszeć ostatnie dźwięki, któremi potężny geniusz raz jeszcze zapragnął przemówić do serc ludzkich.

Verdi zmarł otoczony czcią i miłością swoich rodaków a podziwem całego świata. Arcydzieła przezeń stworzone będą trwały w długie, długie lata, lecz przeżyje je wdzięczność ludzka, którą sobie zaskarbił przez utworzenie domu dla przyciśniętych wiekiem i troskami o byt materyalny muzyków i śpiewaków. Fundacya ta, kosztująca przeszło dwa miliony lirów, jest największem dziełem Verdiego i najpiękniejszym pomnikiem jaki mógł sobie mistrz wymarzyć. Drugie tyle arcydzieł, stworzonych przez zgasłego kompozytora nie zapisało by jego imienia w sercach ludzkich tak złotymi głoski, jak ten przytułek! Geniusz lub talent zjednywują podziw i uznanie tłumów, na zaskarbienie serc — serca potrzeba.

Wł. Ł.

KAZIMIERZ LUBECKI.

HARFA.

O harfo złota, harfo pełna pieśni,
Pełna rapsodów i świętych hejnałów!
O harfo drżąca skargami chorałów,
Które w kościołach śpiewają boleśni,
O harfo polska!

Harfo ty nasza, pełna blasku słońca,
Malowna w barwy kwiatowe i leśne
I w te, któremi palą się bezkreśne
Stepy i morza falują bez końca,
O harfo jasna!

Harfo, wzniesiona, jak harfa eolska;
Wiecznie grająca ech i strun swych mocą;
W której odbite niebiosa się złocą
I odźwierciedla się Ojczyzna polska,
Harfo ty nasza!

O archanielskiej swych głosów potędze,
O Bożym tonie, który z martwych wskrzesza
O śpiewie takim, co we łzach pociesza,
O pięknie, które opromienia nędze,
Harfo serdeczna!

* * *

A dziś bezbożny, zuchwały artysta,
Depcąc relikwie twojego ołtarza,
Rąk pokalanych tknięciem cię znieważa
I śmie cię mazać, o harfo przeczysta,
O harfo święta!

Sobą zasłania ci dale bezbrzeżne,
By nie przejrzały się w tobie, złocistej;
Na strunach twoich, w pieśni uroczystej
Drgających, kładzie swe dłonie lubieżne,
Harfo grająca!

Na pieśni, z ciebie wychodzącej, chwałę
Jak proch, bezecne słowa głośne miota
I tłumi świętą pieśń twą, harfo złota,
Kładąc swe ręce apatyą stężałe,
Harfo ty nasza.

Tak, żeś zaćmiona, coś jak słońce była;
Tak, żeś pobudką, hymnem drgać przestała;
Że zbezczeszczona twa świętość i chwała;
Że odrętwiała twa cudowna siła,
O, harfo polska!

* * *

Ale są jeszcze polskie łzy rzęsiste
I rosy z nieba, które cię obmyją;
I uczuć głosy, które w niebo biją
I z rdzy otrząsną twe struny srebrzyste,
Harfo serdeczna!

Są ognie naszych męczeńskich pożarów
I serc płomienie i blaski z wysoka,
Tak, że się spali ciemna strun powłoka,
A światłość w tobie zalśni pełna czarów,
O, harfo jasna!

Tęczą i słońcem będziesz znów świeciła,
Będziesz pobudką znów i hymnem drgała,
I będzie wielka twa świętość i chwała,
I archanielska tonu twego siła,
Harfo ty nasza!

I wyjdą z ciebie, oczyszczonej z pleśni,
Chorały czyste, wyjdą święte pienia;
Jak anioł, wzlecisz mocą uniesienia
I będziesz harfą złotą, pełną pieśni,
O, harfo polska!

Kraków, 1901.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

W dzisiejszych czasach nie można kroku uczynić bez narażenia się na jakieś wydatki, gdyż materyalizm przeniknął do gruntu cały świat a z nim razem i nasze biedne społeczeństwo. Nawet przedpotopowy rodzaj »uczciwych znalazców« wyginął gdzieś bez śladu, a miejsce ich zajęli po prostu »znalazcy«, którym za oddanie zguby trzeba przyobiecać »sowitą nagrodę«. Smutne to, ale prawdziwe.

Exempli gratia weźmy sprawę zniknięcia funduszu na pomnik Szopena we Lwowie. »Dziennik Polski« rzucił się za nią na lwowskie »koło literackie«, obudził opinię publiczną, nagadał panom kołowcom wiele niemiłych rzeczy — i jakąż dostał odpowiedź?

Żadną. »Koło« nawet nie zaskrzypiało szlachetnem oburzeniem na ów czyn Herostratowy. »I była cisza wielka«. Ty sobie gadaj, a co ja wiem, to wiem i koniec.

Naraz p. Pertinax, kronikarz »Głosu literackiego i społecznego« ofiarowuje za wytłomaczenie mu tej afery — nagrodę, skromną wprawdzie, lecz zawsze nagrodę: komplet »Słowa Polskiego« zawierający sprawozdanie z procesu gal. Kasy Oszczędności we Lwowie. I patrzcie państwo! Nie minęły dwa tygodnie, a fundusz, zagubiony w drodze między komitetem budowy pomnika a Kołem literacko-artystycznem we Lwowie, już się znalazł. Odnośny komunikat »Koła« zamieszczony w lwowskim »Przeglądzie« wspomina nawet »Głos literacki« po imieniu i nazwisku. Nagroda poskutkowała.

Przykro mi jednak bardzo, że »Koło« będzie się musiało obejść bez przyobiecanej mu apoteozy galicyjskich skandali. Aby dojść do nagrody, trzeba dopełnić zastrzeżonych warunków tj. w tym razie wyjaśnić sprawę, odezwa zaś »Koła«, starodawnym obyczajem wszelkich urzędowych sprostowań, zaprzeczeń etc. niczego nie wyjaśnia. Dla upewnienia czytelników o prawdzie słów moich przytaczam ją *in extenso:*

»Wydział Koła literacko-artystycznego po wszechstronnem (?) zbadaniu książek i kwitaryuszów oświadcza niniejszem:

1. Że fundusz, zebrany przez b. komitet budowy pomnika Szopena nigdy do kasy koła literacko-artystycznego nie wpłynął i koło nigdy funduszem takim nie administrowało.

2. Wprawdzie członkowie byłego komitetu budowy pomnika Szopena oświadczyli, że fundusz »Kołu« w zarząd oddadzą, wskutek czego (!) powziął był wydział »Koła« uchwałę z dnia 13. grudnia 1899 r., w myśl, której fundusz wymieniony miał być wprost oddany do rąk JEks. Tchórznickiego, jednak fundusz ten zarządowi »Koła« nigdy nie został doręczony.

3. Doszło do wiadomości naszej (!!!), że fundusz budowy pomnika Szopena został już oddany obecnemu komitetowi sprowadzenia zwłok Szopena do kraju.

Lwów, dnia 23 stycznia«.

Jak na »wszechstronne«, więc sumienne zbadanie książek i kwitaryuszów łącznie z tylnemi okładkami — rezultat bardzo marny. Przecie fundusz musiał chyba być u kogoś, skoro »został oddany« komitetowi! Gdzież zatem się ukrywał? Kto go miał w posiadaniu przez czas tak długi? Dlaczego nie wymieniono nazwiska tego pana, pani, czy instytucyi?

Odpowiedzi na powyższe pytania darmo szukałem również i w odezwie szopenowskiego komitetu. Brzmi ona jak następuje:

»Sprawa wydania funduszów, zebranych przez były komitet budowy pomnika, została już dnia 25. stycznia b. r. w ten sposób załatwioną, iż sumę 600 koron otrzymał komitet w gotówce wypłaconą, reszta zaś 1868 koron została dokumentem stosownie zabezpieczoną.«

Jak widać, szopenowski komitet przejął od »Koła« niektóre właściwości stylu, mianowicie nadwyżkę formy nieosobowej z wielką krzywdą ogółu czytelników i... swoją własną, gdyż my chcielibyśmy wiedzieć, komu należy się zasługa zwrócenia części pieniędzy i kto tę resztę »dokumentem stosownie zabezpieczył«, komitet zaś powinien nam to wyjaśnić. W obec gramatykalnej dyskrecyi obu komunikatów muszę chyba stwierdzić, iż fundusz złożony przez nasze społeczeństwo na pomnik Szopena we Lwowie, znajdował się do dnia 23. stycznia w szklannej trumnie Mahometa, wiszącej jak wiadomo, między zenitem a nadirem. Góra literacka, rodząca myszy odezw i »wyjaśnień« nie chciała przyjść do Mahometa, więc Mahomet przyszedł do góry i... fundusz »został oddany«. Jakkolwiek to jednak się stało, dobrze, że się stało.

Zanim jednak skończę z tym przedmiotem, winienem uderzyć się w piersi: Mea culpa! Oto lwowskie »Koło« udzieliło admonicyi panu, który informował mnie o zniknięciu pomnikowych fundusz i cisnęło nań srogą anathemę: »Informator krakowskiego »Głosu« pomieszał sprawę pieniędzy na pomnik Szopena z niezałatwioną dotychczas sprawą zastawienia przez ś. p. Kuczyńskiego w Banku zaliczkowym książeczki zawierającej fundusz wdów i sierót po literatach i artystach«.

Nic mi już teraz nie pozostaje innego jak przeprosić »Koło« lwowskie za to, iż nie będąc dokładnie obeznany z brodzeniem po tamecznych kałużach, skumulowałem dwa skandale w jeden. Myślałem, że prócz afery pomnikowej, żadna inna plama nie cięży na moralnej hipotece ogniska lwowskich artystów i literatów, lecz oni sami z uznania godną otwartością zaprzeczyli tym zbyt pochlebny o sobie mniemaniom.

Ha! Dzięki i za tę naukę. Odtąd będę się starał przemódz obrzydzenie, ogarniające mnie zawsze, ilekroć ze swego obowiązku muszę się dotknąć finansowo-moralnej strony lwowskiego społeczeństwa i postaram się bacznie zaglądać w *conto dubioso* przeszłości, gdyż często zdarzyć się może, iż w siatce, zarzuconej na jednego ptaszka, dwa się zatrzepocą, tak jak to miało miejsce ze sprawą funduszu na pomnik Szopena.

Co roku o tej porze, setki młodych ludzi chwyta z najwyższą niecierpliwością za pisma codzienne, śledząc bacznie, żali nie widnieją gdzie wiadomości o stypendyach nadanych przez Wydział krajowy?

Niejednemu serce mocno bije na widok odnośnej rubryki, nie jeden szuka w niej odpowiedzi na pytanie: być albo nie być? Uczyć się dalej, czy też dać spokój walce z głodem i chłodem, a jąć się jakiegoś zawodu, któryby dał natychmiast środki do egzystencyi.

Ale rzadko który z rzędu tych właśnie patentów, może rozjaśnić czoło po przeczytaniu listy. stypendyjnej. Protekcye frakowe, mundurowe i fartuszkowe grają przy rozdawaniu stypendyów zbyt wielką rolę, aby mogło się ono dokonywać w sposób słuszny i sprawiedliwy. Smiało rzec można, iż z dziesięciu nagrodzonych, ledwie połowa może rościć sobie jakie takie prawo do zasiłku z publicznych funduszów. Reszta, to dzieci szczęścia, synowie ludzi zamożnych, chowający pieniądze do kieszeni eleganckich surdutów, skąd wywędrują w świat na «drobne wydatki...« Papa zna się dobrze z profesorem Xem, mamusia bywo na fixach u pani radczyni Z-owej, wujcio był już dwa razy u pana Y-na, który ma znajomości w »sferach decydujących» a owocem tych wszystkich wizyt, koneksyj i znajomości jest — stypendyum dla synka. Od przybytku głowa nie boli. Jeżeli pełna nadziei latorośl chodzi jeszcze w mundurku studenckim, to korony stypendyjne zdadzą się jej na eleganckie spodenki i gorsecik do ściskania wiotkiej talii; jeżeli piastuje godność obywatela akademickiego, to mamusia cieszy się już z góry, iż jej gagatek będzie miał za co pójść na bal i rozerwać się trochę po ciężkiej pracy oczkowania z koleżankami w. m. na nudnych wykładach. »On tak zapracowany! Wiek młody ma przecież swoje prawa!«

A tymczasem inni, nie obdarzeni przez los papą-profesorem, mamusią, która zna się z radczyniami lub ustosunkowanym wujciem, tracą zdrowie, siły, często życie, w mozolnej walce o byt, albo też dają spokój nauce, marnując wybitne nieraz zdolności. Jeżeli zaś nawet, dzięki szczęśliwej gwieździe, przetrwają jakoś ten smutny okres życia, wspomnienie doznanej krzywdy zapuści w ich serce głębokie korzenie, tworząc grunt podatny dla niecnych podszeptów, dla posiewu waśni i nienawiści.

A przecież złe obecne możnaby choć w części usunąć, udzielając samej młodzieży prawa głosu przy rozdawnictwie stypendyów. Odnośnie do uczniów gimnazyalnych byłoby to może nieco trudniejszą rzeczą, ale na uniwersytecie żadnych chyba przeszkód w tym względzie być nie może. Komisya, wybrana przez ogół słuchaczy wszechnicy mogłaby wydawać opinię o przedłożonych jej petycyach i z obszernem umotywowaniem odsyłać je władzom decydującym. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Grono kolegów, z pewnością lepszych by mogło zasięgnąć informacyj o stanie majątkowym petenta, niż Wydział krajowy, a w ślad za tem pieniądze dostałyby się tym, którzy do nich mają prawo. Tym sposobem możnaby choć w części podciąć skrzydła protekcyi, z pod których zuchwałe paniczyki sięgają chciwemi dłońmi po grosz publiczny.

Z życia królowej Wiktoryi.



Królowa Wiktorya w otoczeniu rodziny.

Ale nie miejmy nadziei, by podobny cud zdarzył się w naszej Galicyi, w kraju, gdzie najtęższa głowa nie może wystąpić do walki z szerokimi plecami, gdzie forytowanie krewniaków i znajomych bez względu na ich kwalifikacye, uważa się za rzecz całkiem naturalną, w kraju wreszcie, który »stoi i stać chce« nietylko przy dynastyi Habsbursko-Lotaryńskiej, lecz i przy całych dynastyach starostów, sędziów i profesorów uniwersytetu. Tam, gdzie nawet katedrę wszechnicy traktuje się z mocy prawa zwyczajowego, na równi z pierwszym lepszym połamanym stołkiem jako część masy spadkowej, lub, co gorsza, jako przedmiot darowizny między żyjącymi, tam miedziane czoła i łapczywe ręce długo jeszcze będą sięgały po fundusze, przeznaczone dla prawdziwie potrzebujących.

U nas przeż nikt się tą sprawą nawet nie interesuje! Wszak najdrobniejsza defraudacya, dokonana na poczcie, czy też w jakiejś instytucyi finansowej, odbija się echem skandalu po całej Galicyi, lecz w sprawie takich peryodycznych sprzeniewierzeń, takiej bezwstydnej grabieży, praktykowanej rok rocznie nibyto legalnym sposobem, w sprawie systematycznego okradania biedaków przez zamożne a ustosunkowane jednostki, nikt głosu nie zabiera. Widać nasze społeczeństwo miało już czas na oswojenie się z takimi nadużyciami, a to chyba najsmutniejsze ze wszystkiego.

Jak już dawniej wzmiankowałem, bardzo misternie wywiódł pan Rabski z »Kurjera Warszawskiego« swoje żale do pewnego odłamu prasy galicyjskiej, uprawiającego skandal z zawodu i dla zarobku.

P. Rabski ma zupełną racyę niemniej przeto dziwi mnie, że zamiatając tak pilnie przed naszymi drzwiami, nie skierował swej miotły na bliższe mu przecież warszawskie podwórko, gdzie woń paszkwilowego śmiecia poprostu dusi w każdem uczciwem gardle. Różnica na tem tylko polega, iż u nas każdy, biorąc do ręki świstek, będący trafiką paszkwilu, wie, czego się w niem doszuka, tam zaś trudno częstokroć skonstatować w pierwszej chwili, czy ma się do czynienia z porządnem pismem, czy też z kuźnią plotek i aparatem do fabrykowania potwarzy. Warszawa doprowadziła napaści osobiste do niesłychanej subtelności: w Galicyi biją pałką po głowie — tam kłują zatrutemi szpileczkami, a trudno doprawdy ocenić, co jest więcej szkodliwem!

Powyższe uwagi nasunęły mi się po przeczytaniu w warszawskiem »Echu muzycznem i teatralnem« maleńkiego ustępu, traktującego — z okazyi »konkursu stulecia«, którym »Kurjer Warszawski« uraczył nasze społeczeństwo — o popularności kompozytorów polskich za granicą. Niewinna ta wzmianka brzmi następująco:

„Jeżeli z okazji konkursu warszawskiego sięgniemy, zwyczajem innych. do odgłosów opinji zagranicznych, to po Chopinie i Moniuszce najpopularniejszymi, najwięcej wykonywanymi i wydawanymi kompozytorami polskimi za granicą są: Henryk Wieniawski, Antoni Kątski, Ignacy Paderewski, Józef Hofman (?) Jul. Zarembski, Aleksander Zarzycki, Władysław Żeleński, Ludwik Grossmann (!) H. Krzyżanowska (!!!) Jan Gall, Zygmunt Stojowski, Gustaw Friedman, Roman Statkowski, Wł. Górski, St. Niewiadomski, Em. Młynarski (?) Zygmunt Noskowski, H. Melcer, L. Lewandowski, A. Münchheimer i M. Hertz. Mając przed sobą kolekcję programów z Niemiec i Francji za ubiegłe dwa lata, zszeregowaliśmy udział kompozytorów naszych w wymienionym powyżej porządku".

Pomijając już niesłychaną ignorancyę, w postawieniu genialnego lecz niestety za granicą prawie nieznanego Moniuszki, obok Chopina, który jest rzeczywiście najpopularniejszym z polskich kompozytorów wykonywanych na obczyźnie — musi nas uderzyć pewna tendencya z jaką uporządkowano nazwiska kompozytorów.

Czyż możliwe, aby zagranica częściej słuchała dzieł... Grossmanna, właściciela składu fortepianów, który skomponował zaledwie parę drobnostek, aniżeli Żeleńskiego i Noskowskiego? Czy panna Krzyżanowska, wirtuozka i kompozytorka nader średniej miary, również jest więcej znaną wśród obcych, niż ci obaj znakomici artyści? Skąd Zarembski wysforował się na piąte z rzędu miejsce? Takich pytań możnaby zadać tyle, ile jest nazwisk w artykuliku, gdyż wszystkie są umieszczone fałszywie, a komukolwiek nie jest obcy ruch muzyczny, pozna się wpredce na tym »układzie«.

Aby jednak wyczuć subtelność z jaką redakcya »Echa« wydziela zagraniczne uznanie wymienianym przez siebie artystom, zamało jest być nawet fachowym muzykiem. Do osądzenia tego, musi się znać doskonale harmonię... stosunków w warszawskim świecie artystycznym, stosunków które same się proszą pod ostry bicz satyryka i pędzel karykaturzysty.

Panie Rabski, czy nie byłoby rzeczą stosowną a propos tej »kwalifikacyi», napisać coś o paszkwilistyce warszawskiej?

Pertinax.

PTAK PRZELOTNY

obrazek ludowy

napisał

Konstanty Krumłowski.

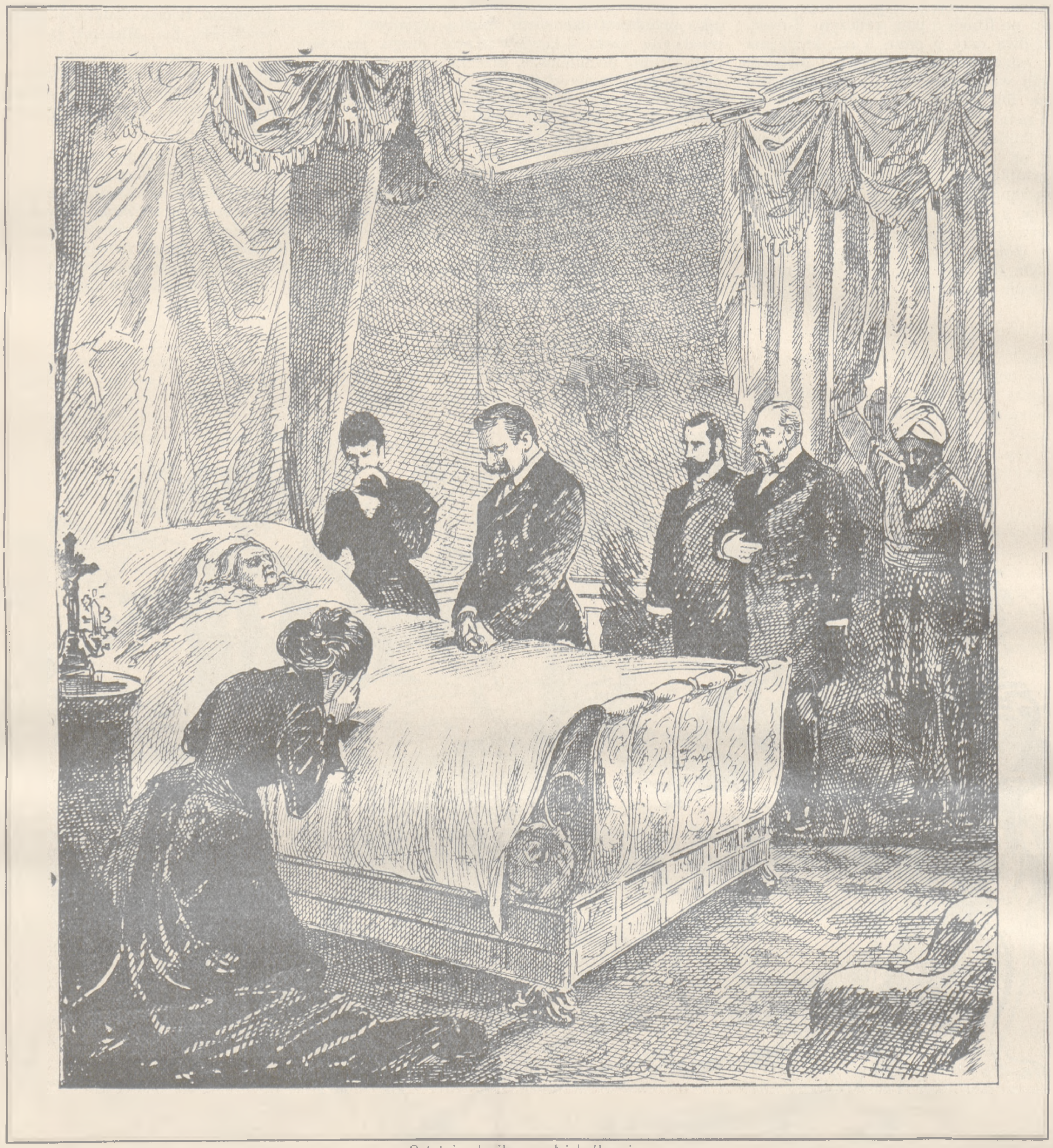
(Ciąg dalszy).

Szli i teraz blisko obok siebie, dotykając się prawie skroniami, głowy ich były opuszczone, czoła sfałdowane zmarszczkami. Oczy dziewczyny patrzały przed siebie a w spojrzeniu jej było wiele goryczy, zniechęcenia i biernego poddania się losom. Twarz lokaja miała ceglaste wypieki, podnosił co chwilę do góry płowe krzaczyste brwi a przez małe, mrugające oczy przelatywały jakieś złe błyski. Pociągał machinalnie od czasu do czasu zeześlinionego i zgaszonego cygara — i mówił.

Marcysia spuściwszy głowę całkiem na piersi szła obok i słuchała, choć słów takich nasłuchała się już dosyć i nieraz z ust pana Kajetana. A niejedno wiedziała już od niego. Wiedziała na przykład, że „pana“ chcą żydzi „sprzedać“, i że nawet już czarny Chaskiel pieniędzy mu nie chce pożyczyć. Że w gospodarstwie idzie coraz gorzej, że połowę służby już oddalił pan Rogowski, a drugiej połowie zalega z „zasługami“...

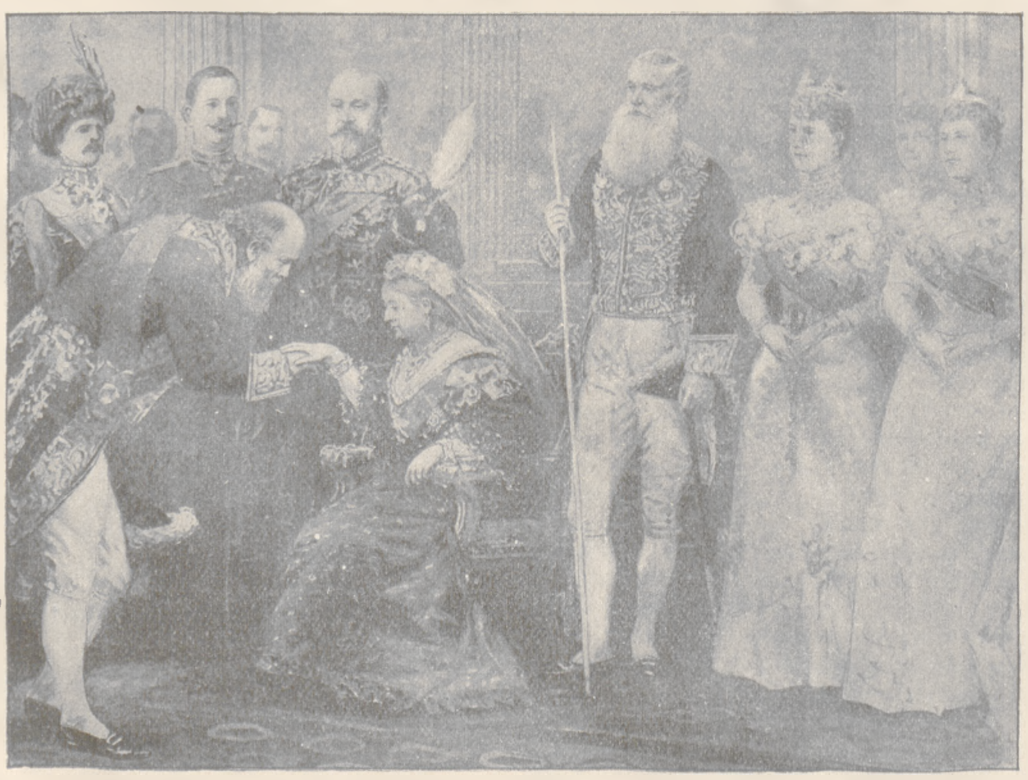
Ujęło to wiele z uroku dziedzica w oczach dziewczyny, ale zawsze to „pan“ — a „co pan to pan“ pocieszała się w swoim zawodzie i zwątpieniu, przeciw któremu każdy człowiek stara się bronić i zasłaniać się o ile możności...

Anglia w żałobie.



Ostatnie chwile zmarłej królowej.

Z życia królowej Wiktoryi.



Przyjęcie jubileuszowe w pałacu Buckingham w Londynie.

Wiedziała na przykład dalej, że p. Kajetan stracił zupełnie dawny respekt dla swego chlebodawcy, odzywał się o nim z przekąsem i złośliwie, a nawet mówiąc o nim nie nazywał go już „Jaśnie panem“, ale „naszym starym“, lub nawet krótko „starym“. Wiedziała, że pan Kajetan wcale nie myśli tu „długo popasać“ i gdy tylko odbierze co mu się należy...

Tymczasem jednak pan Kajetan, nie czekając uregulowania rachunku swego przez dziedzica sam odbierał należytość — odbierał co mógł i jak mógł. Wyrównanie swoich zasług załatwiał z zasady tylko wtedy kiedy sam był w pokoju pana. Tym tytułem przeszły w posiadanie pokrzywdzonego sługi: piękny duży pulares dziedzica z srebrnym monogramem, bursztynowa cygarniczka i sygnet z kamieniem, który jednak pan Kajetan dla wszelkiej przezorności nosił nie na palcu tylko w kieszonce kamizelki.

Zresztą przy końcu służby źle się nie działo lokajowi. Palił dobre cygara, wypijał pański koniak i raczył się resztkami wina z piwnicy, od której z urzędu miał klucze powierzone. Po za tem i drobna moneta brzęczała zawsze w jego kieszeni.

Pan Rogowski, zbyt pochłonięty rachunkami i konferencyami z propinatorem, nie miał z pewnością ani głowy ani czasu do wglądnięcia w jaki sposób znowu „rachunki“ swoje prowadzi służący.

Marcysia nie pochwalała w głębi duszy postępowania swego starszego przyjaciela, czuła się jednak wobec niego tak małą, tak przygniotała ją wyższość i z gruntu zła i zepsuta natura tego człowieka, że przez myśl jej nawet nie przeszło zaprotestować przeciw jego prostym złodziejstwom i milcząco stała się jego powierniczką i moralną wspólniczką jego łotrostw.

Kajetan wiedział o tej wyższości — wiedział także o tem że przed Marcysią z niczem kryć się ani krępować nie potrzebuje. W zamian za to bierne poddanie się i oddanie dziewczyny, wtajemniczał ją łaskawie w te sfery świetnych, poglądów i przekonań, które sam wyznawał — i żył podług nich.

Wsiowe ludzie, to są *głupie* — prawił pan Kajetan z pogardliwym uśmiechem — oni myślą, że ich Pan Bóg stworzył tylko do łopaty i wideł, a takiego darmozjada jak „nasz stary" do używania i cygarów palenia i siedzenia w szalonach. Ale tak nie jest, i ja se także cygaro palę i jak mi się podoba to się z panną Marcyanną będę bawił i cóż mi kto zrobi?

Dziewczyna patrzyła na niego z podziwem i uznaniem.

— Ja od pana Chaskla mom miastowe *gazetki*, które jeszcze tamtego roku *wydurkowali* — ciągnął mistrz, dalej dostając z kieszeni fraka zmięte i potłuszczone świstki. — Ja *se* to czasami *szylabizuję* tam są bardzo dobre *kawałki!*

— Jakie? jakie kawałki? — pytała chciwie z błyszczącem okiem dziewczyna.

Tam stoi — mówił p. Kajetan — co księża naród bałamucą a panowie (jak „nasz stary") żyją z naszej krwi.

— O! retyście!... — ze zgrozą krzyknęła Marcysia.

— A jakże — powtórzył z naciskiem lokaj — co krew naszą leją, a nam robotnikom to ino łzy płyną.

I cóż? i cóż? — nalegała dziewczyna.

— A no potem przyjdzie dzień zapłaty, a my będziemy sędziami.

— Kto?

— A no my.

— I pan Kajetan też?

— A no juści!... O! osądziłbym ja tych psia wiarów, ażby im się dawne czasy wspomniały, kiedy ich to sądzili cepami i widłami po łbie chłopy.

— To oni *musi* źli ci panowie — zauważyła ze smutkiem i powagą Marcysia.

— O! nie! dobrzy! — śmiał się ironicznie Kajetan — aż z tej ich dobroci brednym ludziom żebra sterczą, i w kiszkach z głodu piszczy.

— U naszego pana ludzie nigdy nie głodowali — zauważyła dziewczyna nieśmiało.

— *Ciewy!* — krzyknął lokaj z oburzeniem — jeszcze by ich głodem morzył! Za ich mordęgę w polu i w gumnie i na ten przykład w stajni a pokojach... A za cóż to oni harują mu w polu? Za tę podłą strawę!... A czyjeż te pola — panna myśli? Zapytał zataczając kręg ręką nad czarnemi zaoranemi zagonami.

— A no juści... Jaśnie pana

— *A do bani!*... To wszystko *ludzkie.*

— Ludzkie? — zawołała ze zdziwieniem.

— Wsiowe — objaśnił krótko.

— Wsiowe? — Powtórzyła.

— W w moich gazetkach to wszystko *stoi* dokumentnie wydurkowane, a Chaskiel mówił co niedługo to i grunta pańskie pójdą het! między chłopów i służbę... Ho! ho! żydzi mają nos, oni przewąchają wszystko!...

— O rety! rety!... Biedny nasz pan — westchnęła z współczuciem Marcysia.

— Ej! co ja tam zresztą będę pannie o polityce opowiadał. Panna jesteś na te rzeczy głupia — skończył niecierpliwie niepospolity ten mąż wiedzy i postępu.

Szli jakiś czas w milczeniu obok siebie, pan Kajetan żuł w zębach niedopałek cygara — a Marcysia rozważała jego słowa.

„Książę-małżonek".



Książe Albert Sachsen-Koburg-Gotha, zmarły mąż królowej Wiktoryi.

— Przepraszam pana Kajetana — odezwała się z wahaniem po chwili — a co pan Kajetan będzie robił?

Pan Kajetan gwizdnął wesoło.

— Co! pójdę do miasta, niech ino odbiorę tu co mi się należy.

— A ja?... — mimowoli wymknęło się z ust dziewczynie.

— A panna także ruszaj do miasta *nie czekający.* Tam takie ładne dziewczyny zawsze chleb znajdą...

Marcysi jakby nagła błyskawica mózg rozświetliła.

Z życia królowej Wiktoryi.



Monarchini przyjmuje na posłuchaniu lorda Robertsa, wracającego z Afryki.

— Prawda!... do miasta! — pomyślała z bijącem sercem — że też jej to dawniej na myśl nie przyszło... Tam ładne dziewczęta zawsze chleb znajdą... A ona jest ładna! ładna!... Sama wie o tem, a miasto niedaleko... Tam w mieście będzie zresztą pan Kajetan. Tak! tak! do miasta! do miasta!...

— Tam *som* i *mużyki* i ochota rozmaita i kompanija dobra, a piwko nie takie jak u Chaskla... Tak roztaczał przed dziewczyną ponętne obrazy miasta p. Kajetan. Zmierzch już zapadał; powietrze było ciche, spokojne, pełne ciepłej woni, właściwej tylko naszym lasom w jesieni i żyznej zoranej ziemi. Polne koniki przeciągłem stłumionem ćwierkaniem odzywały się z łąk i zbóż, ze wsi dolatywało ujadanie psów i echa nawoływań i urywanych piosnek...

Kajetan podszedł bliżej do Marcysi i patrząc na nią swemi mrugającemi oczami objął suchem ramieniem okrągłą kibić dziewczyny.

— Pójdziesz panna ze mną do miasta? — zapytał przyciskając ją do siebie.

— Pójdę! — odrzekła stłumionem szeptem.

— Tam źle pannie nie będzie — zapewniał.

— Nie będzie!... powtórzyła jak echo —

Kajetan przytknął spalone suche usta do szyi dziewczyny.

Nie broniła mu tego pocałunku, nie wydzierała się z uścisku i szła posłusznie i bezwiednie jak zasuggestjonowana oparta na jego ramieniu...

Tego wieczoru Marcysia nie wróciła już do czeladnej izby, gdzie dotąd zawsze spała z towarzyszkami swej pracy... (D. n.)

Nasze ryciny.

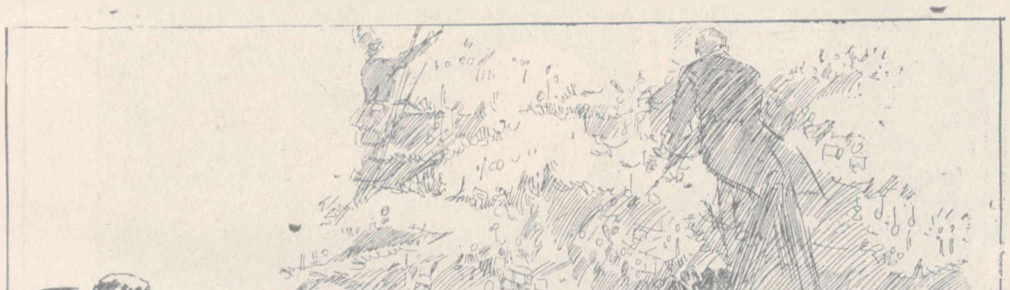
Cały dzisiejszy numer poświęcamy rysunkom i fotografiom, odnoszącym się do śmierci królowej angielskiej Wiktoryi. Władczyni Wielkiej Brytanii i cesarzowa Indyi, jedyna córka księcia Reuss i księżnej Luizy Sachsen-Coburg-Gotha, urodzona w r. 1819, zakończyła życie w dniu 22 stycznia b. r. o $^1/_2$ do 7-mej wieczorem. Przy łożu jej czuwali do ostatnich chwil książę Walii, dzisiejszy król Edward VII z żoną, książę Yorku (obecny następca tronu, syn Edwarda VII), również z żoną, i cesarz niemiecki Wilhelm, wnuk zmarłej królowej.

Rycina, przedstawiająca całą rodzinę królewską, jest reprodukcyą fotografii, zdjętej w r. 1897, podczas 60-letniego jubileuszu panowania królowej Wiktoryi.

Widzimy na niej te same osoby, które były świadkami ostatnich chwil monarchini. Królowa trzyma na ręku najmłodsze dziecko obecnego króla, Edwarda VII.

Do uroczystości jubileuszowych odnosi się także rycina, przedstawiająca uroczyste przyjęcie w pałacu Buckingham. Widzimy na niej lorda Salisbury'ego, który składa pocałunek na ręku monarchini. Obok tronu stoi książę Walii.

Z życia królowej Wiktoryi.



Choinka dla dzieci żołnierzy, walczących w Afryce południowej.

Ostatniemi czasy zdrowie sędziwej monarchini dawało coraz to większe powody do obaw; sił jej brakowało i musiano ją wozić w wózku. Coraz to mniejszy mogła brać udział w sprawach państwa, gdyż wzrok i słuch począł jej całkiem niedopisywać. Na ostatniej, przez siebie udzielonej audyencyi, przyjmowała królowa lorda Robertsa, generalissimusa wojsk angielskich, wracającego z Afryki. Posłuchanie trwało podobnoś bardzo długo, przeszło pół godziny, i miało, jak opowiadają, wpłynąć w bardzo niekorzystny sposób na zdrowie władczyni.

Zmarła królowa przechowywała w wielkiej czci pamięć swojego męża. Był nim książę Albert von Sachsen-Coburg-Gotha. Zrazu Anglicy nie lubili „księcia-małżonka", gdyż był katolikiem, a w dodatku Niemcem, lecz po niejakim czasie zdołali przezwyciężyć uprzedzenia, a w ślad za tem książę Albert zdobył sobie powszechną miłość i szacunek. Małżonkowie przeżyli z sobą 21 lat, a związek ich został pobłogosławiony ośmiorgiem dzieci. Po śmierci męża, królowa, zgnębiona nieszczęściem, przywdziała grubą żałobę, której już nie zrzuciła aż do zgonu.

Anglia w żałobie.



Książę Walii i cesarz Wilhelm odjeżdżają z Londynu do Cowes.

Pamięć księcia-małżonka łączyła się w umyśle monarchini z dwiema miejscowościami: Balmoral i Osborne. Zamek Balmoral, położony w górzystej miejscowości w Szkocyi nad rzeką Dee, nabył w roku 1852 książę Albert wraz z dobrami, które, powiększane stopniowo, dziś mają przeszło 20 kilometrów rozciągłości. W miejsce domu, który tam stał pierwotnie, wzniesiono w latach 1853—1857 okazałą rezydencyę. Plan jej i wewnętrzne urządzenie, aż do najdrobniejszych szczegółów, są dziełem księcia-małżonka. Gmach ten wzniesiony jest z szarego granitu w stylu gotyckim. W dekoracyi wewnętrznej, obliczonej nie na wywołanie wrażenia zbytku, lecz na zaakcentowanie prawdziwie angielskiego komfortu, przeważają narodowe kolory szkockie: purpurowy i szary. Przedsionek pałacu ozdobiony jest wielką statuą jego założyciela w stroju highlandera — górala szkockiego. Wewnątrz nie ma ani jednego malowidła na ścianach, obwieszonych mnóstwem pięknych sztychów, rysunkowi trofeów myśliwskich.

Inny zupełnie charakter ma rezydencya w Osborne, na północnym cyplu wyspy Wight, oddalonej zaledwie o kilkanaście kilometrów od południowego brzegu Anglii. O ile Balmoral, położony w dość surowym klimacie Szkocyi, przystosowany był w zupełności do otoczenia i przedstawiał raczej siedzibę bogatego angielskiego właściciela ziemskiego, o tyle znów Osborne, ze względu na położenie w bliskości Londynu i klimat nadzwyczaj łagodny, był w całem tego słowa znaczeniu rezydencyą monarszą. Również i ten zamek jest dziełem księcia Alberta i tu także wszystko łączy się ze wspomnieniami małżeńskiego szczęścia pary królewskiej. Zamek zawiera wspaniałe apartamenty, urządzone z przepychem monarszym, a zdobią je liczne dzieła sztuki, których w Balmoral nie ma. Królowa przebywała tutaj najczęściej zimą, przyjmowała odwiedziny panujących i dopuszczała innych wysokich gości do oglądania swego oblicza. Jak wiadomo, śmierć zaskoczyła monarchinię właśnie w komnatach osbornskiego pałacu.

Trzeci z zamków, również wyobrażony na jednej z rycin dzisiejszego numeru, zamek Windsorski, leży w hrabstwie Berks, o 20 kilometrów od Londynu. Wilhelm Zdobywca kazał go wybudować wkrótce po ogłoszeniu się panem Anglii. Henryk I często w nim przemieszkiwał: Edward III, tam urodzony, przebudował zamek podług nowych planów. Również Karol II czynił wiele dla upiększenia zamku i wkrótce stał on się ulubionem miejscem pobytu królów angielskich a często ich letnią rezydencyą, mianowicie Jerzego III, któremu tam wystawiono kolosalny pomnik. Wielkie sumy wykładał też Jerzy IV na restauracye i przyozdabianie zamku. Ma on wygląd wspaniały, staroświecki, i otoczony jest wokół przepysznym parkiem. Zamek posiada wspaniały taras, z którego widok na Tamizę, przepływającą w tych stronach bardzo piękne okolice, jest prześliczny. Podczas pobytu w nim kogo z królewskiej rodziny z wieży powiewa flaga angielska. W parku znajduje się też królewska posiadłość Frogmore-Lodge, obecnie miejsce zamieszkania księżnej Heleny i jej małżonka Krystyana Szlezwig-Holstein. Po śmierci księcia Alberta wybudowano koło Frogmore wspaniałe mauzoleum, do którego przeniesiono zwłoki księcia i gdzie obecnie zostanie pochowaną królowa Wiktorya.

Edward VII, obecny król angielski, którego podobiznę zamieszczamy również na czele dzisiejszego numeru, skończy 9 listopada b. r. 60 lat życia. O politycznych jego talentach milczą dzieje, natomiast jest od paru dziesiątek lat władcą w dziedzinie — mody. Nowy władca Wielkiej Brytanii lubił wesołe i wystawne życie; najlepiej był o tem poinformowany parlament, który na mocy specyalnej uchwały spłacał jego długi. W doborze towarzystwa nie odznaczał się wybrednością, to też nazwisko jego zostało nawet wplątane w skandaliczny proces, mający za tło oszustwa przy grze w karty. Przyszłość pokaże, czy Edward VII wraz ze zmianą imienia (jako książę Walii nażywał się Albert) dokonał na sobie jakiej przemiany wewnętrznej, która mu umożliwi wsławić swoje nazwisko w dziedzinie polityki tak, jak jest już sławnem między modnisiami całego świata.

Cesarz Wilhelm, otrzymawszy telegram o chorobie królowej Wiktoryi, natychmiast pospieszył do Londynu, gdzie zabawiwszy parę godzin w pałacu Buckingham, natychmiast udał się do Osborne wraz z księciem Walii. Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę odjazdu obu monarchów.

Pięknym rysem charakteru zgasłej monarchini była niezwykła dobroć serca. Po wplątaniu się Anglii w wojnę południowo-afrykańską, gdy wojska ruszyły w bój, królowa zajmowała się niezmiernie żywo losami swoich żołnierzy, nie zapominając też o żonach i dzieciach, które zostały w ojczyźnie. Między innymi dowodami łaski monarszej jedno z pierwszych miejsc należy się choince, urządzonej w dzień Bożego Narodzenia dla żołnierskiej dziatwy. Z rozkazu królowej przystrojono wspaniale ogromną choinkę, a władczyni, wspomagana przez księżnę Walii i księżniczkę Yorku, własnoręcznie obdzielała prezentami uradowane maleństwa.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

LITERATURA.

* Od kilku lat „Spółka Wydawnicza polska„ w Krakowie wydaje *Nową bibliotekę uniwersalną*. Co dwa tygodnie ukazuje się jeden tom, mieszczący w sobie trzy dalsze ciągi dzieł, treści belletrystycznej i naukowej paginowane oddzielnie, tak, że po skończeniu się każdego utworu, można go osobno oprawić. Nie potrzebujemy dodawać, iż, w *Nowej bibliotece uniwersalnej* znajdują pomieszczenie tylko rzeczy pierwszorzędnej wartości literackiej. Obecnie „Spółka wydawnicza" drukuje tam słynne „Wspomnienia z martwego domu" Dostojewskiego, zajmującą powieść Abgara-Sołtana p. t. „Nea" i studyum Ludomira Gadona noszące tytuł „Emigracya polska". To ostatnie zawiera oprócz tekstu ryciny, wykonane bardzo starannie. Niska cena prenumeraty (12 koron rocznie) powinna zachęcić jak najszersze koła czytającej publiczności do zaprenumerowania tego wydawnictwa, które ze wszech miar zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

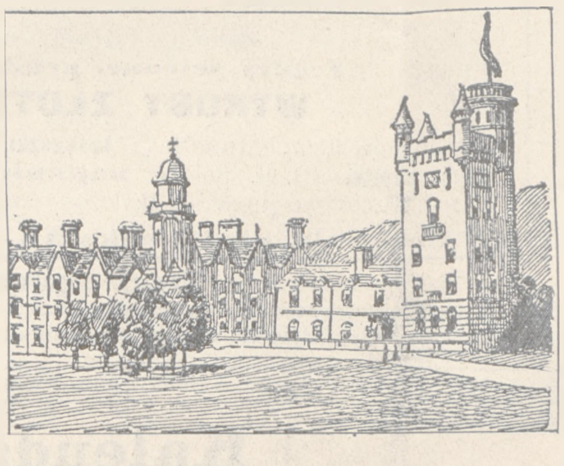
* Marya Rodziewiczówna: „Nieoswojone ptaki" powieść.

„Nieoswojonym ptakiem" jest młoda i piękna dziewczyna, wychowana przez dziwaka stryja zdala od świata i ludzi, a poślubiona następnie artyście Stankarowi. Wprowadzona w świat obłudy i konwenansów z jednej, a kaprysów męża-artysty z drugiej strony, Tola Stankarowa, jest jak w klatce. Dusza jej szamoce się tam i tłukąc boleśnie o żelazne pręty obowiązku i prawa, zraniona, wyrywa się ku dawnym swoim ideałom, ku dzikiej prostocie dzieciństwa. Kolizye, jakie następują pomiędzy dwojgiem małżonków, obojgu im łamią życie. Wspólne istnienie staje się dla nich niemożliwe. Tola najprzód ucieka, potem na podstawie porozumienia się z mężem opuszcza go i wraca do swoich pól szerokich i puszcz zarosłych. Powieść jest przyczynkiem do kwestyi t. zw. „małżeństw niedobranych". Myśl jej przewodnią streszczają słowa jednego z bohaterów, starego profesora. Mówi on do Stankara: Marnują się z tej racyi miliony talentów i charakterów, tylko o tem nekrologów nie piszą i statystyki nikt nie prowadzi. Bądź że ty wyjątkiem, jeśli żona do ciebie dobrowolnie nie wróci — nie pakuj słowika gwałtem do klatki, bo ci śpiewać nie będzie, ani sam, jeśli orzeł, nie osiadaj w dolinach. Mniejsza, co tłum gadać będzie, życie raczej każde w swem świecie niż macie zabić ducha dla dogodzenia gawiedzi... „Nieoswojone ptaki" nie wystrzelają zresztą niczem ponad poziom dotychczasowej twórczości p. Rodziewiczówny.

* Józef Krajewski „Odrodzenie". Poemat w czterech pieśniach. Warszawa 1901.

Pan Krajewski ma pewną wprawę w rymowaniu, a chociaż tu i owdzie poważnie grzeszy przeciw estetyce, zapomina o poezyi i pisze poprostu t. zw. posiekaną prozą, to przecież umie od czasu do czasu zdobyć się na strofę, która brzmi ładnie i poprawnie, jak strofa XXVIII w pieśni I. Umie także zdobyć się na pewien polot, czego złożył dowód w początku kaskadowego wiersza, poświęconego ludzkości, a utrzymanego w charakterze improwizacyi. Z tem wszystkiem poemat jego należy do utworów chybionych. Ani formą, ani treścią nie odpowiada on wymaganiom sztuki, a swoim satyryczno-sceptycznym tonem wywołuje niesmak. To, co jest doskonałe u Byron'a w Don-Juanie, co jest błyskotliwe i ostre, jak klinga damasceńska, u Słowackiego w Beniowskim — u p. Krajewskiego staje się bezbarwne, bezdźwięczne, niezmiernie w niektórych wypadkach płytkie; p. Krajewskiemu nie sądzono snać zająć miejsca w spółczesnym Parnasie polskim.

Zamki królewskie w Anglii.



Osborne, zimowa rezydencya zmarłej królowej.



Zamek windsorski.



Balmoral, siedziba letnia królowej.

* Procesy o wywożenie dzieł sztuki są na porządku dziennym we Włoszech, gdzie — jak wiadomo — t. zw. *lex Pacca* zabrania sprzedaży arcydzieł za granicę. Obecnie wytoczono proces księciu Barberini o słynną wazę z Aleppo, która została sprzedaną za granicę. Wazę tę ofiarował w darze sułtan Aleppo książętom Urbino; następnie przeszła ona na własność Watykanu, a w końcu posiadaczami cennego dzieła sztuki byli książęta Barberini.

* Drezdeńska galerya obrazów wzbogaconą została dziełem wielkiego artysty francuskiego Puvis de Chavannesa, zmarłego w r. 1898. Obraz malowany w r. 1875. znany p. t. „Rodzina rybaków" a wystawiony w Pałacu sztuki na ostatniej Wystawie paryzkiej, przedstawia trzy epoki wieku ludzkiego: koło pełnej zdrowia i życia pary rodziców bawiące się dziecko i schorzałego starca. W historyi rozwoju francuskiej sztuki malarskiej w XIX wieku obraz ten zajmie niewątpliwie wybitne miejsce.

TEATR i MUZYKA.

* W Warszawie zmarł po dłuższej chorobie Octavio Nouvelli, profesor klasy śpiewu konserwatoryum warszawskiego. Ś. p. Nouvelli przybył do Warszawy przed 10 laty, jako tenor liryczny, zaangażowany do opery na szereg występów gościnnych, a potem osiadł na stałe i objął posadę profesora w instytucie muzycznym. S. p. Nouvelli ceniony był jako artysta wybitny i człowiek prawy.

* Z Warszawy donoszą, że prace przy przygotowywaniu tła do panoramy, przedstawiającej „Napoleona w Egipcie", posuwają się żwawo. Artyści malarze W. Kossak, Puławski i Ryszkiewicz już namalowali znaczną część terenu i krajobrazu. Wiele figur już narysowano lub podmalowano. Panorama ma być wykończona na maj r. p.

* Kijowski Salon artystyczny p. Jana Zamarajewa (Ursyna) otworzył tymczasową wystawę obrazów w Żytomierzu. Wystawa mieści się w nowym, pięknym gmachu Towarzystwa wzajemnego kredytu przy ul. Berdyczowskiej. Na wystawie żytomierskiej znajduje się przeszło 150 płócien wybitnych artystów-malarzy, jak: Żmurko, Fałat, Kossak, Kozakiewicz, Wierusz-Kowalski, Piątkowski, Tetmajer, Popowski, Ruszczyc, Nałęcz, Galimski, Wrzeszcz, Stanisławski, Stasiak, Kostrzewski, Kruszewski, Gażycowa, Kazanowski, hr. Tyszkiewicz, Perdzyński, Tracewski i inni. Na stałej wystawie w Kijowie, przy nowej zmianie świątecznej, salon p. Zamarajewa zaprezentował bardzo zajmującą kolekcyę krajobrazów malarza kijowskiego p. Eugeniusza Wrzeszcza, składającą się z kilkudziesięciu płócien, przeważnie z pięknych motywów podolsko-ukraińskich. Oprócz tego zwracają ogólną uwagę świetne nowe krajobrazy Ruszczyca, pastele Galimskiego, „Kopciuszek" Malczewskiego, „Swaty" Wodzińskiego i wiele innych.

* Gabryel D'Annunzio widząc smutny stan w jakim się znajduje „Wieczerza" Leonarda da Vinci na ścianie Santa Maria delle Grazie w Medyolanie, zasunął „Odę na śmierć arcydzieła", podaną przez „Illustrazione Italiana". Oda wyraża całą piękność „Wieczerzy" i smutek poety, jak również wszystkich artystów nad zmarnowaniem wspaniałego dzieła. Za kilka dni wystawi d'Annunzio w teatrze Regio w Turynie najnowszy swój poemat liryczny „La canzone di Garibaldi".

Listy z linii „A-B".

XIII.

Gdyby Rzewuski cudem ożył w grobie,
Co od lat wielu chwastem już porasta,
To sąd właściwy wyrobiłby sobie
O gorliwości naszych Ojców miasta.
A widząc cały ten nieład i zamęt
Z pewnością chyba zmieniłby testament!
Gdy nawet komplet zejść się nie potrafi,
Gdy tej fatygi nawet im za wiele,
Pewnieby zrzekł się szkoły fotografii
A grosz na inne przeznaczyłby cele,
Na cel doniosły i piękny w praktyce:
Oświecić puste radców mózgownice.
Choć i to byłoby chęcią daremną —
(Widać jak pilnie dobra miasta strzegą --)
Gdzie pusto w głowie, a w sumieniu ciemno.
Tam pewnie nie ma przemawiać do czego,
I gdzie jest milszy niż pracy chęć szczera,
Kieliszek sznapsa lub bomba pilznera!
Słuchać żydowskich podłych drwinek biada!
Żyd, według srebra innych także ceniąc,
Twierdził, że zbierze się w komplecie rada,
Gdy radzić będą po prostu — za pieniądz.
Wyście milczeli!... Więc jesteście tacy?
Wstyd chrześcianie, wstyd wam krakowiacy! —
Już to Lwów lepszym od nas jest w tej mierze,
Tam to znać życie, czuć społeczne tętna,
Nim w Wiedniu jeszcze parlament się zbierze,
O ławy — walka toczy się namiętna!
O! na tych ławach, wszystkich z sercem szczerem
Wyłożyłbym was na czele z Breiterem!...
Niech się tam kłócą! niech los im poszczęści,
Skandal zjawiskiem dziś nie jest najrzadszym,
To polityka posłów „wolnej pięści",
Której się jeszcze do syta napatrzym,
Ma bowiem Breiter sam dosyć zapału,
I wyszedł drugi poseł z kryminału.
Dziś jeden przeciw drugiemu się rzuca,
Lecz o ich przyszłą zgodę się nie trapię,
Ma pan Daszyński wyrobione płuca,
A Breiter rozum skoncentrował w łapie.
Parlamentarnym złączonym tym siłom
Głupstwem jest zrobić w konstytucyi wyłom!!

Amaris.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**